WIESŁAW KACZKOWSKI

ur. 1950; Tomaszów Lubelski

Miejsce i czas wydarzeń	Susiec, PRL
Słowa kluczowe	Susiec, PRL, obóz tearalny, teatr Provisorium, Roztocze, przedstawienia

Obóz teatralny na Roztoczu w 1975 roku

Pierwszy obóz teatru Provisorium rok 1975, [był z] konieczności zwabienia, mówiąc nieładnie, nowych ludzi do teatru. [Dlatego] wymyśliliśmy obóz na Roztoczu, który nam pomogła zorganizować znakomita pani Irena Szczepowska-Szychowa. [Na] Roztoczu, bo to fajne miejsce i może, dlatego że ja [jestem] z Roztocza, i chciałem pokazać innym moje tereny. Sami byśmy tego nie zorganizowali, pomogli nam dobrzy ludzie, pani Szychowa-Szczepowska, wówczas zastępca dyrektora w takim przedsiębiorstwie RSW „Prasa-Książka-Ruch", Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki. Ona była tam odpowiedzialna za kulturę, [a że] wówczas powstawały na wsiach kluby „Ruchu" i [właśnie] bazą naszych występów, na Roztoczu były te kluby „Ruchu", bo gdzieś trzeba było ludziom pokazać to przedstawienie. Myśmy jeździli od wsi do wsi z komedią Fredry „Nowy Don Kichot". To było wszytko tak zorganizowane logistycznie przez te dwa tygodnie tego obozu, że przyjeżdżały po nas umówione samochody o odpowiedniej godzinie. Myśmy się ładowali ze sprzętem na samochód, były to najróżniejsze samochody ciężarowe jakieś, dostawcze, raz nas woził wóz strażacki. Mieszkańcy byli już powiadomieni, jak myśmy zajeżdżali pod klub, to ludzie szli z krzesłami z całej wsi. Myśmy się ustawiali, oni zajmowali miejsca na widowni, jak było za mało miejsca wewnątrz, to siedzieli na podwórzu za otwartym oknem i coś tam jeszcze widzieli. To było fajne przeżycie, bo ludzie ze zdumieniem mówili, że nigdy do nich jeszcze nikt nie przyjechał, żeby cokolwiek pokazać z jakimś występem artystycznym, a już teatr, to w ogóle, to jest pierwszy raz w życiu. Mówili: „Jak żyję tam te 60 lat, to nikt do nas nie przyjechał, jesteście pierwsi.". Dlatego zrobiliśmy Fredrę i dlatego chcieliśmy pojechać na obóz, ponieważ była konieczność, bo wszyscy pokończyli studia i [była] kwestia wyboru, kto zostaje, kto wyjeżdża. Trzeba było coś wykombinować, żeby teatr nie umarł śmiercią naturalną, tylko żeby to dalej trwało. Kilkanaście osób pojechało po raz pierwszy z nami na ten obóz teatralny i dopiero się do nas jakby przyzwyczajali. Robiliśmy kilka prób w Lublinie, każdy miał za zadanie nauczyć się tekstu na pamięć. Nie musieliśmy robić wielkich

prób, bo Fredro to samograj. Mieliśmy efektowne kostiumy wypożyczone z Towarzystwa Kultury Teatralnej, [ono] też nas wspomagało i wspomagali nas, tak jakby na inaugurację nowego województwa, bo powstało wówczas nowe województwo, był nowy podział administracyjny kraju. Jasiek Twardowski pojechał załatwiać obóz, rozmawiać z nowymi władzami i zaproponowano mu pracę i on już nie był na obozie tylko zaczął z marszu pracę w Zamościu i tak to się zaczęło. Myśmy mieli znakomite fundusze, środki na ten obóz. Znakomicie nam się powodziło, było to dobrze zorganizowane tak jak mówię. Wówczas jeszcze chyba nikt nie znał tego określenia jakaś tam logistyka działania, ale to tak było zorganizowane, że działało dobrze. Raz tylko, jeden raz tylko zawiódł transport, nikt po nas nie przyjechał, a byliśmy wówczas w Suścu, bo ten obóz był w dwóch miejscach część w Krasnobrodzie, potem druga część w Suścu i nikt po nas nie przyjechał, a byliśmy nastawieni, że tego wieczora mamy się znowu bawić w komediantów fredrowskich, tośmy poszli do pierwszej wsi za Suścem na piechotę niosąc na plecach reflektory, sprzęt, kostiumy. Wszystko było rozpisane, wszystko było dokładnie rozpisane, mapa zrobiona, którego dnia, o której godzinie, w jakiej miejscowości na terenie dwóch-trzech powiatów wręcz, bo to było zamojski, tomaszowski, biłgorajski. Codziennie [nie graliśmy], ale w ciągu dwóch tygodni, nie wiem ile razy, około 10 razy chyba graliśmy. To chyba było nieco dłużej niż 2 tygodnie, jakieś 15-16 dni, nie pamiętam. [Przedstawienia] były darmowe. Jak zdarzyło nam się przyjechać wcześniej godzinę na przykład przed rozpoczęciem przedstawienia, to żeśmy prosili kierowcę, który nas przywiózł, żeby zrobić kilka rund po wsi. Najczęściej były to samochody takie ciężarowe z taką przyczepą otwartą z tyłu i na tej przyczepie żeśmy tam sobie stali i nawoływali, tak jak wędrowne teatry: „Ludzie, ludzie będą cuda w tej budzie!”, tego typu jakieś tam: „Zapraszamy, zapraszamy dzisiaj dla was gramy za darmo przyjdźcie będą dziwy jakieś tam.”. To żeśmy nawoływali, ludzie stawali, słuchali, przychodzili. W większości właśnie szli z własnymi krzesłami. Krasnobród i Susiec, to były nasze bazy, musieliśmy mieć bazę, gdzie śpimy, jemy i tak dalej, a z tej bazy rozjeżdżamy się po terenie, na przedstawienia. Najdłuższe jakieś tam wyjazdy to trwały nie wiem, niecałą godzinę powiedzmy, więc trzeba było dojechać, zagrać, po przyjaźnić się trochę z miejscowymi i wrócić, żeby nas ktoś tam mógł odwieźć. Jak kierowca nie mógł czekać, aż my tam będziemy ucztować, to mówiono: „Nie martwcie się coś znajdziemy, czymś tam was odwieziemy.” i tak jakoś bywało, że nas jakoś tam odwozili. Musieliśmy wrócić pod namioty, bośmy w Krasnobrodzie pod namiotami, takie wojskowe namioty ośmioosobowe, namiot męski, namiot kobiecy, a przy tym wszystkim pani Opryńska, mama Janusza Opryńskiego, która zostawała i jak myśmy wracali, to była przygotowana już kolacja dla nas. Oczywiście ten obóz pierwszy, [przy] drugim to już chyba się w to nie bawiliśmy, ale obóz pierwszy charakteryzował się jakimś reżimem obozowym, to znaczy poranne apele, zbiórki. Byliśmy podzieleni na różne grupy, szef każdej grupy meldował stan ile osób, czy wszyscy zdrowi, przytomni, każdy odśpiewywał swój hymn, takie wariacje. Ja byłem

samozwańczy komendant obozu, mnie się meldowali wszyscy. Tylko na obiady chodziliśmy do knajpy, a na śniadanie i na kolację brało się suchy prowiant tak zwany i sami sobie robiliśmy. Na ten suchy prowiant w większości składały się butelki taniego wina zwanego wówczas „prytą” z tym, że wino mogliśmy pić tylko tego dnia, kiedy nigdzie nie wyjeżdżaliśmy, natomiast był całkowity zakaz picia jakiegokolwiek alkoholu w dzień, kiedy było przedstawienie. Odpowiedzialnym za to był Boguś Janczyk, który był uważany za największego moczy mordę w teatrze i ja powiedziałem [mu]: „Boguś odpowiadasz, to jest twoja działka, jak zobaczysz, że ktoś ci sięga po jakiś kieliszeczek, czy gdzieś piwo tam kamufluje, to od razu kara.”, jakieś tam kary wyznaczyliśmy regulaminowe. [Kiedy] wracaliśmy po przedstawieniu, to siadaliśmy do stołu, a pod stołem schowane były skrzynki i Boguś ze wzrokiem pełnym błagania patrzył na mnie czy już. „Już, już.”, ja mówię: „Już.”, to łup i rozlewamy, i pijemy. Oczywiście nie było żadnego pijaństwa, bo to nawet nie wypadało, bo gdyby tam było nas dwóch czy trzech to moglibyśmy sobie popić zdrowo od czasu do czasu, ale to raz, że pani Opryńska, dwa to dziewczyny, to jakoś trzeba było zachować godną postawę. Nigdy nie dochodziło do żadnych kłótni, sprzeczek przecież to kilkanaście osób przez dwa tygodnie razem w namiotach to się różnie może zdarzyć, ale było bardzo sympatycznie, bardzo fajnie. Też nikt nam nie starał się robić żadnej krzywdy, bo to na takich obozach zawsze tam jakaś miejscowa młódź potrafiła się gdzieś tam podkradać, robić jakieś tam podchody, a tu nic. Byliśmy przez ludzi traktowani z szacunkiem mimo, że z pozoru niechlujni, pozarastani, rozczochrani, w nieprasowanych koszulach. Na wsi ktoś jak chodzi w niedzielę w koszuli wygniecionej, to nie jest dobrze widziane, przynajmniej wtedy.

Data i miejsce nagrania	2012-03-12, Lublin
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Weronika Prokopczuk
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"